

## Kobza żołnierska.

Od czasu Mattilin-an-Dall, którego Parryż oklaskiwał w „La Closerie des Genêts“: którego Ludwik-Filip zapragnął słyszeć w Tuilleries, żaden „trębacz“ w Bretanii nie cieszył się taką sławą, co Jozon Thoraval.

Był to chłopiec piękny jak malowanie, którego dziewczęta wyrzywały sobie. On jednak kochał swoją kobzę tylko.

Jozon miał lat trzydzieści, kiedy wojna 1870 roku wybuchła i został wysłany wraz z innymi rezerwistami swego okręgu do obozu w Comlie, którego dowódca Keratry umyślił był zastąpić rogi w swoich batalionach kobzami. Pomyśl nie był zły i nie-jeden żołnierz zawdzięczał czarowi tej dzikiej, lecz tak drogiej dla uszu bretońskich muzyki, odporność swą na nostalgję.

Pod Droue Jozon jeden z pierwszych jest ranny: kula, przebiwszy bukłak jego kobzy i ześlizgnąwszy się z dmuchawki zlamala mu obojczyk; w kilka dni potem, z łopatką jako tako wyleczoną, odesłano go wraz z konwojem innych więźniów do twierdzy Ingolstadt, skąd pierwszy raz 6 stycznia 1871 roku daje wiedzieć o sobie rodzinie, która ma go za umarłego. Donosi, że zdrow fizycznie, cierpi bardzo moralnie z powodu straty swej kobzy, która została w kałuży krwi, na bruku małego miasteczka. Jest jak ciało bez duszy bez niej. Nie pisze jednak o strasznej wilgoci w kazamatach, niedostatecznym odżywianiu, złem obćjściu, tyfusie i dezynterji, wreszcie jako skutku takich barbarzyńskich warunków życia. Drugi list, datowany 24 stycznia, jest weselszy od poprzedniego, jakkolwiek wystany ze szpitala, gdzie Jozon leczy się na katar płuc. Na sali bowiem jest młodzinka siostra miłosierdzia, Badenska, która mówi po francusku, ponieważ przed włożeniem kornetu zakonnego była w charakterze bony u markiza C... w Bretanii, w parafji Jozona. Nazywają ją siostrą Jadwigą. Jest bardzo dobra dla więźniów, szczególnie dla Bretończyków.

\* \* \*

Trzeci list otrzymała rodzina Jozona od siostry Jadwigi, która donosi o beznadziejnym jego stanie; Jozon jest chory na galopujące suchoty. Niech mu przysła — nie pieniądze — nie potrzebuje ich teraz — lecz coś, coby mu przypomniało kraj rodzinny.

List, obłany gorącemi łzami, wywołał długie rozprawy pod rodzinną strzechą grajka. Aż wreszcie dobrze wypchana paczka została odniesiona na kolej i pewnego wieczoru Jozon, który młie mógł już ruszyć się z łóżka, otrzymał ją z rąk siostry Jadwigi. Było święto wówczas u naszych zwycięzców. Telegram bowiem przyniósł wiadomość, że Zebranie Narodowe ratyfikowało preliminarja pokoju: major, lekarze i dozorczy chorych opychali się na cześć triumfującej Germanji. Jedna tylko siostra Jadwiga oddawszy Jozonowi prze-

syłkę i cofnąwszy się dyskretnie w głąb sali, odmawiała różaniec.

Niezręcznemi z niecierpliwości rękami Jozon rozplątywał sznurki. Wszyscy chorzy ucihli w naprężonym oczekiwaniu.

Rozlegał się tylko szept siostry i bezustanne „la Illah Illah“ Turka — Ben-Maboula — leżącego obok Jozona i skandującego swe psalmy. Oczy chorych wpijały się w palce faworyta siostry Jadwigi, błyszcząc wyrazem zazdrosnej ciekawości.

Ten jest dzieckiem szczęścia! Im nic nie przysłało z domu!

I oto z paczki, uwolnionej wreszcie ze swych więzów, wylonily się, jak groch z kapustą: trykot wielniany, trzy pary pończoch, jabłko, wędzona kiełbasa, gruba jak udo, którą Jozon, w przystępie radości okręcał sobie koło pięści.

-- Wystarczy dla każdego po kawalku -- oznajmiał wpatrzonym jak w tęczę to-



Rod la Roque zaangażowany został przez Williama Foxa do filmu „Romans tajemniczego Wschodu“.

warzyszom niedoli, których dłonie już się wyciągają chciwie.

Lecz rozczarowana paczka nie wydała jeszcze wszystkich utajonych skarbów i na dnie worka widać było jakiś dziwny przedmiot kształtu wkleśniętego pęcherza z długimi końcami, które czyniły go podobnym do wielkiego martwego pajaka.

Jozon zbliżył się do niego. Od pierwszego rzutu oka poznał rodzaj przedmiotu, który intrygował jego towarzyszków i wzruszenie jego było tak wielkie, że nie mógł zdecydować się dotknąć go.

— Wydobądźże! Co to jest? Czy trzeba dopomóc? Boisz się, żeby nie ugryzło? — Rozlegały się głosy.

Odważył się wreszcie: ostrożnie, jak gdyby brał w ręce cyborjum, wyjął z worka, gdzie leżała na posłaniu z wrzosiny, kobzę nowiuteńką o czterech dmuchawkach, przystrojoną we wstęgi, jak na weselu.

— Ach! moja siostró! — szepnął Jozon w umiesieniu, podnosząc instrument do ust.

\* \* \*

Czy usłyszała ten szept błagalny, to westchnienie umierającego? Siostra Jadwiga, przymknawszy oczy, jak gdyby głę-

biej jeszcze zatonała w swym różańcu. Nie powiedziała „tak“, lecz mrugnięcie jej powiek można było od biedy wziąć za przyzwolenie!... Major zresztą i dozorczy, oddani hulatyce, nie prędko wstana od stołu. Biedny Jozon zaś ma oddech tak słaby, że kobza jego wielkiego hałasu nie robi...

Zebrawszy resztę sił, Jozon wówczas zadał w bukłak swej kobzy i wydobył zeń nutę żalną, jak rżenie żrebięcia. Cały pokój drgnął nagle. Ben-Maboul nawet, przerwawszy po raz pierwszy swój psalm, usiadł i, z oczami rozszerzonymi, z niemłą swą oliwkową twarzą, przeistoczona ekstazą, słuchał, marząc może o „mouba“ swego plemienia, rozdzierającej błękit nieba afrykańskiego...

Inni chorzy, Bretończycy po większej części, rozumieli lepiej, co się dzieje. Słuchając z początku po dyletancku muzyki słynnego na całą Bretonję grajka, który i teraz nawet, trawiony suchotami, jedną nogą w grobie, był jeszcze królem „kobziarzy“, ulegli w końcu jak Turek czarowi instrumentu i zasluchani zapomnieli o Jozonie, sali szpitalnej, Ingostadtzie, Niemcach, wojnie, — widząc przed sobą w oddali coś, co im lży wyciskało z oczu...

Jozon grał „Ann-hini-goz“, hymn narodowy plemienia. I nigdy starodawny temat ludowy nie był z taką maestrią interpretowany: Pod arpedżjami Jozona wskrzeżała całą Bretonję z jej borami, landami, swem niebiesko - zielonawem morzem, niskim niebem i wrzynającą się weń koronką swych dzwonnice.

Nikt z obecnych chorych, ani siostra Jadwiga, ani Turek z szeroko otwartymi ustami i nieruchomym wzrokiem nie był na tym realnym świecie. Dlatego to nikt nie usłyszał skrzypienia butów i stuku podłogi, zwiastujących zwykle zbliżanie się majora.

\* \* \*

Wpadł jak wichur; spotniały, czerwony, z serwetą pod brodą, z oczami do orbit wysadzonymi -- straszny. Dwaj dozorczy szli za nim w przepisanej odległości...

— Verflucht! (Do kroćset!) Czyż o szalała, siewster, (siostró), że tolerujesz taki hałas w swej sali?... Odbierzcie instrument temu żołnierzowi, dozorczy!

Dozorczy rzucili się na Jozona, który grał wciąż. Lecz z sąsiedniego łóżka, Ben-Maboul, wyrwany nagle ze swej ekstazy, zerwał się i podskoczywszy do majora, chwycił go oburącz swemi olbrzymimi dłońmi za gardło, wpił się paznogłami i zmiażdżył tętnicę szyjową.

Jozon oddał Bogu ducha tego samego wieczora, Turka rozstrzelano nazajutrz. A siostra Jadwiga po spakowaniu kobzy i rzeczy grajka, rozdaniu innym chorym zapasów żywnościowych i zachowaniu dla siebie pęku wrzosiny, napisała do rodziców Jozona ostatni list — ostatni rozdział swej czystej i bolesnej idylli.

Tłum. Jotsaw.

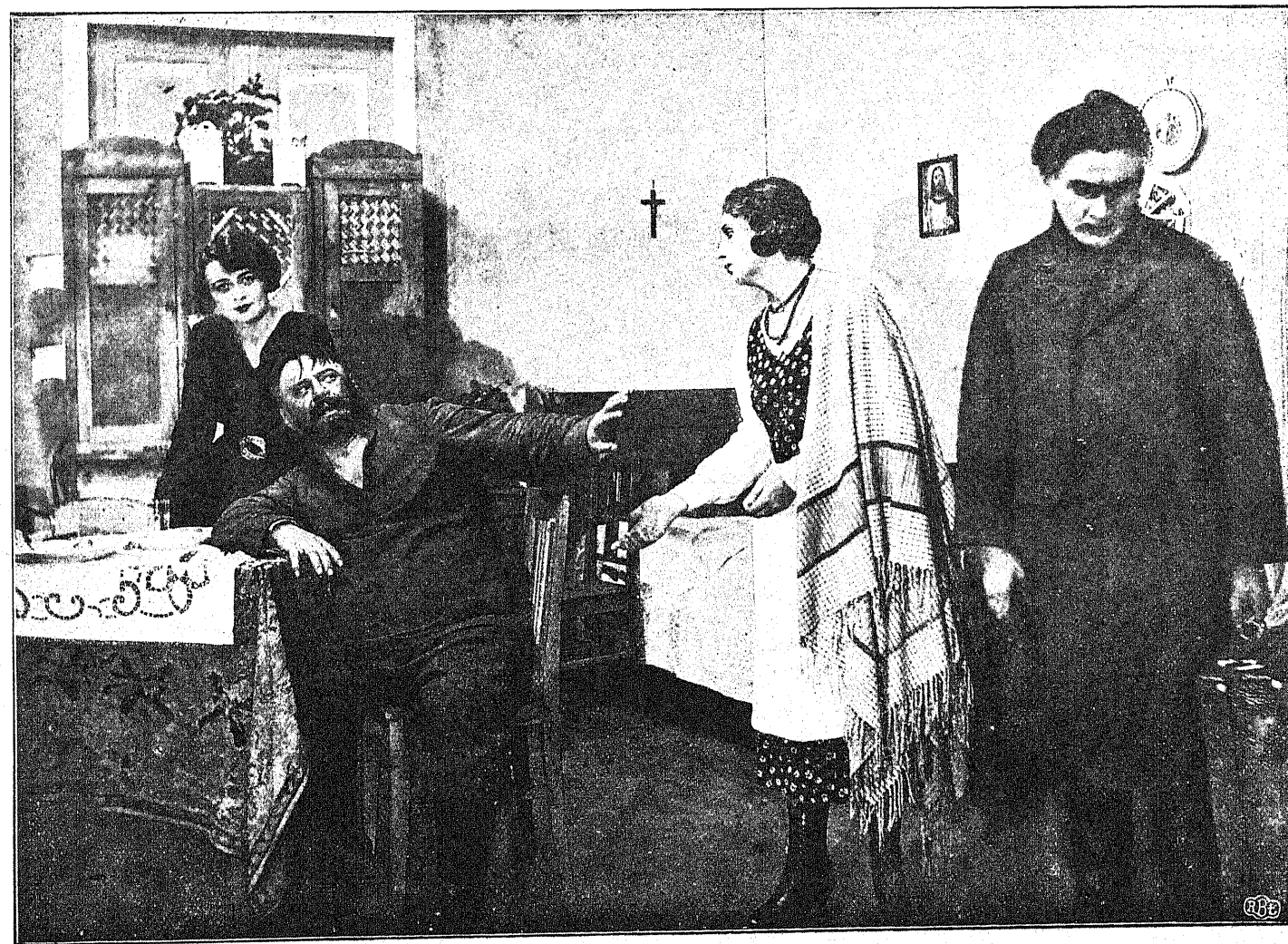


Rok VI

Niedziela, dnia 20 października 1929 r.

Nr. 42.

## „Karol i Anna” w Teatrze Kameralnym.



W ubiegłym tygodniu Teatr Kameralny w Łodzi wystawił ciekawą sztukę Leonarda Franka p. n. „Karol i Anna“. Powyżej podajemy fragment jednego z aktów tej kapitalnej sztuki, granej z niezwykłym zacięciem i brawurą. Na zdjęciu od strony lewej: p. Marcinowska, p. Leopold Zbucki, świetna Anna w interpretacji p. Makarczyk-Wasilewskiej i p. Madaliński.



## TEATRALJA.

Teatr w Poznaniu. — Propaganda teatralna w uniwersytetach. — Festival Shaw'a. — Drobiazgi z za kulis.

Tegoroczny sezon zimowy rozpoczął Teatr Polski w Poznaniu tak jak należało, t. j. złożeniem hołdu zasługom Wojciecha Bogusławskiego — wystawieniem jego „Spasmów modnych” w reżyserskim opracowaniu Stanisławy Wysockiej, z prolegiem okolicznościowym pióra Emila Zagadłowicza. W przygotowaniu na tygodnie najbliższe posiada teatr poznański następujące sztuki: „Para nie para” — Konec kiego, „Miłość czy pieśń?” — Fiałkowski, „Drewno-Markiewicz”, „Adwokat i róża” — Szanawskiego. Z dzieł obcych zamierza teatr poznański wystawić w sezonie bieżącym: „Kupca weneckiego” — Szekspira, „Don Carlosa” — Schillera, jeden z utworów Calderona, ze współczesnych — „Teatr wiecznej wojny” — Jewreinowa.

Mówiąc o teatrze poznańskim, należy podkreślić, że w ciągu całego sezonu letniego, ożywionego ze względu na P. W. K., wystawiano sztuki wyłącznie polskie i nie poświęcono dosłownie ani jednego wieczoru żadnemu autorowi obcemu. W przeciągu czterech i pół miesięcy letnich wystawiono: Słowackiego — „Mazepę”, Rostworowskiego — „Niespodziankę”, Fredry — „Damy i huzary” i „Zemstę”, Korzeniowskiego — „Starego Kavalera”, Heimara — „Dwóch panów B.” i Grzymały-Siedleckiego — „Maman do wzięcia”. Rekordową, doprawdy, zwłaszcza jak na stosunki poznańskie, ilość przedstawień osiągnęła komedia Siedleckiego, grano ją bowiem 104 razy!

Jeden z poważnych tygodników amerykańskich, poświęconych zagadnieniom teatru („Theatre Magazine”) publikuje szereg artykułów propagandowych na rzecz zakładania teatrów przy uniwersytetach. W artykule pani O. Dillon znajdujemy następujące uzasadnienie tej idei: „Europejski bliższy jest starej Helladzie i jej humanistycznej sztuce życia, niż amerykański yankee. Słowo kochamy teatr, znamy jego ożywczość i pragniemy, by jego poziom artystyczny nie upadł, powinniśmy w uniwersytetach zacząć kształcić przyszłe pokolenia do należytego ocenienia teatru. Podstawą tych rozważań jest praktyczna filozofia życiowa, podobna do filozofii starożytnej Grecji, gdzie teatr był niejako świętością narodową i świątynią młodzieży. Wychowanie młodego pokolenia w zamiłowaniu do teatru może istotnie skierować je na drogę powrotną do swobodnej wesołości: w każdym razie droga ta lepsza jest od fabrycznej produkcji filmowej, którą właśnie Ameryka przytłacza zmysł artystyczny starego świata... Idei, propagowanej przez wspomniane czasopismo nowojorskie, trudno odmówić słuszności. Jeśli chodzi o Polskę, posiadamy sporo teatrów t. zw. szkolnych, spełniających z powodzeniem swą rolę wychowawczą — kulturalną i stojących w niej jedynym wypadku na bardzo poważnym poziomie. Teatry uniwersyteckie, gdyby po-



Fragment z głośnej sztuki „Karol i Anna” Leonarda Franka, wystawionej w Teatrze Kameralnym w Łodzi.

wstały, mogłyby i powinny być kontynuacją teatrów szkolnych, mutatis mutandis, oczywiście, ze względu na różnice wieku, zainteresowań umysłowych i t. p. — uczestników i aktorów. Jest to — zdaniem naszym — sprawa dość poważna, by się nad nią zechcieli zastanowić odpowiedzialni czynnikowie zainteresowani.

W niewielkim a malowniczo w pobliżu Oxfordu położonym miasteczku angielskim — Malvern odbył niedawno festival teatralny, poświęcony twórczości Shaw'a. Festival ten, na który zjechało się również wielu cudzoziemców, objął sztuki Shaw'a, od „Cezara i Kleopatry” aż do „Wielkiego Kramu”. Organizatorem festivalu był znany teatrolog i wielbiciel Shaw'a — Barry Jackson, który zgromadził pierwszorzędną zespół wykonawców. Nawiasem dodamy, że „Wielki Kram” wywołał bardzo różne opinie wśród krytyków angielskich i poważne sprzecznosci w ocenie. Dopiero obecnie, po „próbie generalnej” w Malvern, „Wielki Kram” ma być wystawiony na jednej ze scen londyńskich.

Prawdziwym wybrańcem losu wśród autorów węgierskich jest bezsprzecznie młody, dobiegający zaledwie trzydziestki, autor Władysław Fodor, którego „Mysz kościelna” oglądaliśmy w zeszłym sezonie w Łodzi. Komedia Fodora cieszą się wyjątkowymi sukcesami zarówno w teatrach węgierskich, jak na scenach zagranicznych. a młody autor ma w swym dorobku znaczną już ilość sztuk tak znanych, jak „Małgona z Nawarry” („Pan Premier”), „Dr. Julia Szabo”, „Ja pamią już gdzieś spotkałem” i t. d. „Mysz kościelna” wiedeński Burgtheater grał w ubiegłym sezonie zgorą 100 razy; niemieckie powodzenie towarzyszyło tej komedii w berlińskim Lustspielhausie. W najbliższej przyszłości Burgtheater wystawi nową komedię Fodora p. t. „Kolysanka” zaś jeden z teatrów

budapeszteńskich świeżo ukończone „Wieczne pióro”. Fodor, uważany obecnie za najpoważniejszego rywala Fr. Molnara, bardzo wcześnie, bo już w 17-ym roku życia, zaczął pisać dla sceny, a pierwsza jego jednoaktówka p. t. „Książę Oxfordski” zwróciła na młodziutkiego autora uwagę sfer teatralnych. Na pewien czas oddał się Fodor następnie beletrystyce, od sześciu lat jednak pisze wyłącznie dla sceny, i to, jak podkreśliśmy, z rzadko spotykanym powodzeniem.

A propos poważnych wpływów i zasobności teatru węgierskiego wspomniemy, że Węgrzy założyli w Paryżu własną scenę, której dyrektorem został Michał Marosy. Teatr ten zacznie wkrótce funkcjonować, zaś pierwszą jego premierą będzie sztuka Brody'ego p. t. „Nauczycielka”.

Ciekawa historia wydarzyła się w paryskim teatrze „Des Arts” podczas próby sztuki O'Neill'a p. t. „Włochata małpa”. Oto tłumacz tej sztuki, Bourgeois, dostał nagle ataku furji i wyobraziwszy sobie, że to on jest tą „włochatą małpą”, zaczął wyznaczać niesłychane awantury w sali teatralnej, wspinać się po łóżach i fotelach i t. d. Personel teatru musiał zorganizować prawdziwe polowanie, aby schwycić „człowieka-malpę” i odwieźć go z trudem do domu obłąkanych. Tym razem trzeba przyznać, że tłumacz przejął się do głębi i na serio tłumaczonym utworem!...

Poważną akcją agitacyjną przeciwko karze śmierci która to kwestia nabrała ostrej aktualności w związku z procesem Jakubowskiego, przeprowadziły ostatnio aż cztery teatry berlińskie, wystawiając sztuki odpowiednio dobrane. Prócz „Józefa” Eleonory Kalkowskiej, wystawione zostały jednocześnie „Die Ursache” — Franka, „Die Nacht vor dem Beil” — Wolfensteina i „Pod jabłonią stoi gilotyna” — Bahrema.

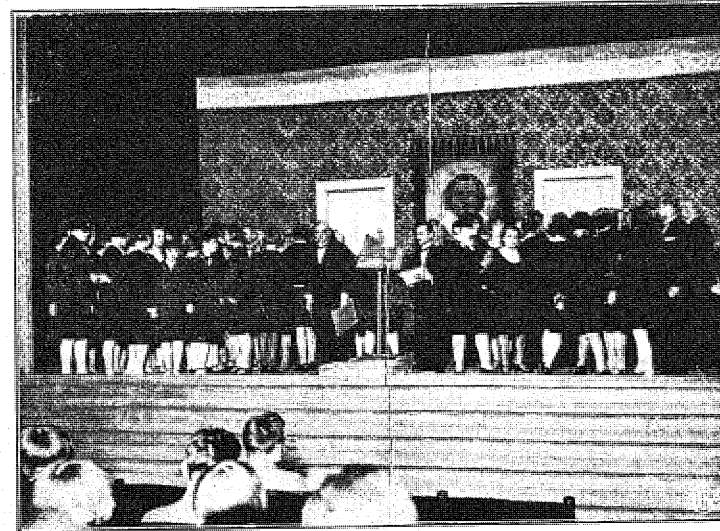
Delta.



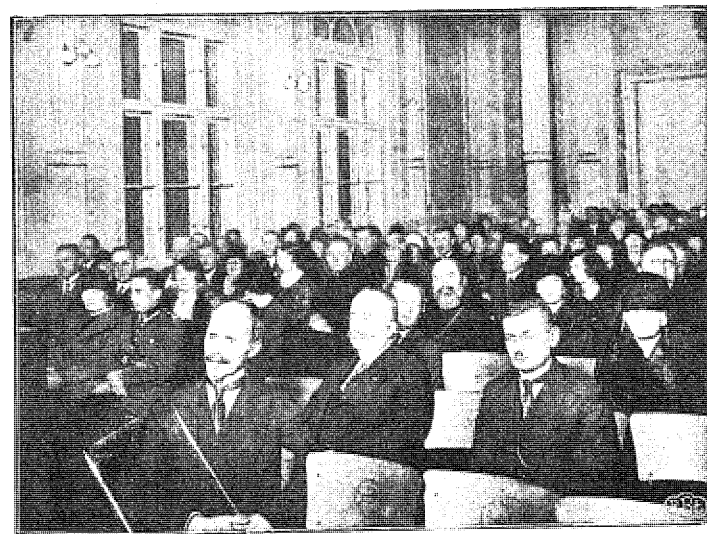
Z okazji Tygodnia L. O. P. P. w Łodzi odbył się pokaz wojny gazowej. Powyżej widzimy zadymianie świecami dymnymi horyzontu przed zbliżającym się atakiem „nieprzyjacielskich” samolotów.



Prof. W. Konopczyński, wygłaszający prelekcję o Kazimierzu Pułaskim.



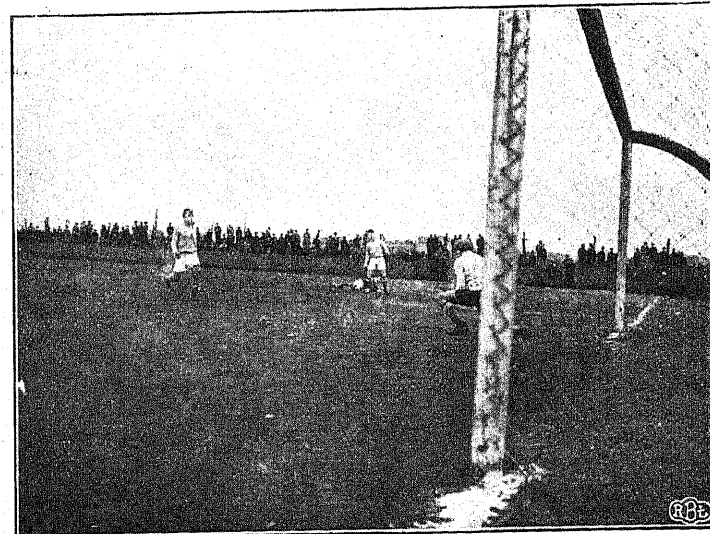
W uroczystej akademii ku czci Kazimierza Pułaskiego w Teatrze Miejskim wystąpił chór im. Moniuszki w zespole, który widzimy powyżej. Fot. A. Meyer.



Piękną prelekcję o Kazimierzu Pułaskim wygłosił na akademii w Radzie Miejskiej prof. W. Konopczyński. Powyżej uczestnicy akademii z prezesem S. O. p. St. Bełżyńskim na czele.



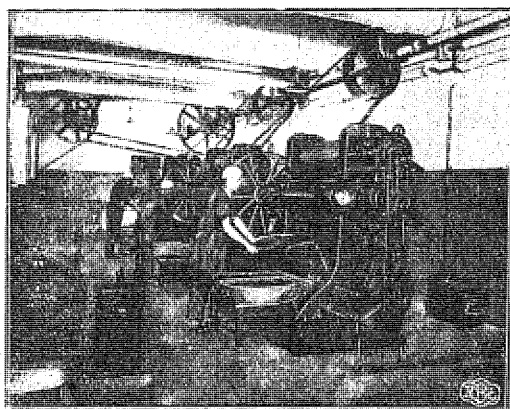
Fragment aktu III-go wesołej krotociwili „W czepku urodzony” Wincen-tego Rapackiego (syna) wystawionej w Teatrze Miejskim w Łodzi.



Ciekawy moment z meczu ligowego Turystów — Garbarnia w Łodzi.



# TAJEMNICA FABRYKACJI CZEKOLADY

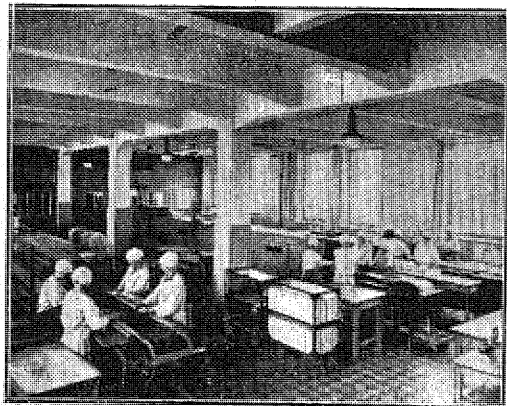


Oddział ścierania czekolady wałcami stalowymi.

Jaka właściwie może być tajemnica fabrykacji czekolady — zapyta niejeden czytelnik: czekoladę po prostu „robi się” i kwita.

Niewielu jednak ludzi zdaje sobie sprawę z tego, jak to się „robi” czekoladę i jak się różni od tego surowca, z którego jest robiona. Wielu zaś ludzi zdziwi się, gdy powiemy, że czekolada przechodzi dłuższy proces od swego surowca — ziarna kakaowego — niż np. cukier od surowego buraka. Aby pokazać Czytelnikom ten proces, jak i przechodzi ziarno kakaowe, zanim się stanie jadalną czekoladą, przejdziemy się razem z nimi po największej fabryce czekolady w Polsce, której wyroby znane są na całym obszarze Rzeczypospolitej pod firmą A. Piasecki S. A. w KRAKOWIE.

Przedewszystkiem chcemy powiedzieć o tem, jakie rozmiary ma ta fabryka, aby z tego Czytelnicy mogli osądzić, jaką ważną już obecnie ga-



Maszynowe oblewanie czekolady.

łęzią przemysłu żywnościowego jest fabrykacja czekolady nawet w Polsce. Otóż fabryka czekolady firmy A. Piasecki S. A. przeniesiona do nowych wielkich zakładów przed sześciu laty w Krakowie, ulica Wrocławska 17, obejmuje wielki prostokąt potężnych gmachów trzypiętrowych o kilkadziesiąt wielkich halach. Zatrudnia ona 400 pracowników w fabryce oraz zaopatrzona jest w szereg potężnych maszyn z siłą motoryczną 820 HP. wykonujących zasadnicze czynności, związane z przetworem surowego kakao na czekoladę.

Nadto zaś w części, wyrabiającej ostateczny produkt cukierniczy, rozmaite karmelki, małe czekoladki i t. p. oraz pakujących te wyroby 20 kilka maszyn, z których każda zastępuje pracę ręczną 10 ludzi. W tej to potężnej fabryce czekolada, zanim stanie się czekoladą, przechodzi następujący proces:

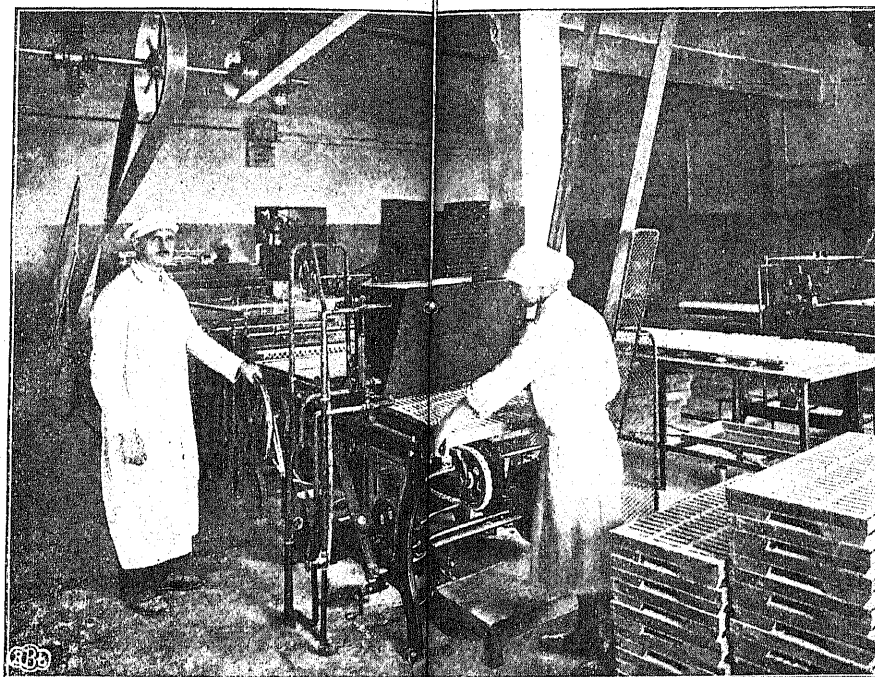
Najpierw przychodzi surowe ziarno, będące owocem rośliny „Theobroma cacao”, której ojczyzną jest środkowa Ameryka i północna część południowej Ameryki. Owoc ten w całości ma wielkość średniego ogórka, a kształt nieco odmienny, podobny raczej do świeżego, jeszcze zielonego strąka papryki. W tym „ogórku”, o drzewiastej skorupie, wśród galaretowatego miąższu, znajduje się parędziesiąt ziarn wielkości naszych małych, laskowych orzeszków bez łupin.

Istotnie są to orzeszki raczej, gdyż zawierają one w swym składzie 52 procent, a więc więcej, niż połowę tłuszczu. Orzeszki te przychodzą do fabryki w stanie surowym, lecz zależnie od gatunku i od kraju, z którego pochodzą — albo przefermentowane przez dłuższe leżenie w ziemi, albo wysuszone.

Takich gatunków kakao jest około 30, więc z Meksyku, Guatemali, Costariki i innych republik amerykańskich, także z północnej Brazylii i z wysp Małych Antylów, z Indji, z Afryki i Madagaskaru.

Każdy z tych gatunków ma pewne odrębne właściwości w smaku, zapachu, w zawartości

„teobrominy” — pierwiastka podobnego w działaniu do „kofeiny” zawartej w kawie i „teiny” herbacianej; owej „teobrominy” czekolada względnie kakao zawdzięcza swoje właściwości orzeźwiające i podniecające, oraz wzmacniające. Otóż każda fabryka używa do fabrykowania swojego kakao i swojej czekolady różnych gatunków surowych ziarn kakaowych. Fabryka A. Piasecki S. A. używa wszystkich gatunków



Oddział automatycznego odlewania cukrów.

ziarn, przyczem ma swoje tajemnicze swoje sekretne sposoby tworzenia mieszanek z kilku albo i więcej różnych gatunków ziarn kakaowych, którym odpowiednie gatunki przebiegają wytwarzanej czekolady, zawdzięczają swoje specjalne aromaty, smaki, odrębne zalety pożywności, rozmacniania i t. d.

Lecz surowe ziarna kakaowe nie mają prawie żadnego smaku, ani zapachu. Tak, jak kawa — zyskują one dopiero przez palenie.

Tu znowu znajdujemy się w fabryce f-my A. PIASECKI S.A. W ogromnych piecach żelaznych pali się surowe ziarno kakaowe, a palone już ziarno idą do wielkiego młyna, który

je najpierw rozdrabnia na trzy rodzaje różnej grubości „kaszy”. Młyn ten najpierw omiela je z łupinek i te łupinki idą na jedną stronę młyna, a na drugą kasza z czystych ziarn. Dopiero ta kasza idzie ostatecznie do „młyna”, który ją ściera na miazgę płynną i tu produkcja rozchodzi się na dwie gałęzie.

Mianowicie z kaszy kakaowej zamiast maki powstaje w tym „młynie” gęsta, półstała, prawie oleista

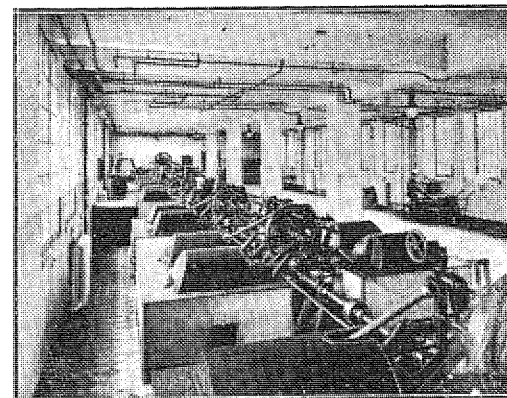
Na szeregu młynów, a raczej wielkich tarł, masa ta na pół płynna, jest mieszana i ścięta. W fabryce firmy A. Piasecki S. A. widzimy, jak wlewa się on do wielkich kotłów po 1000 kg. pojemności każdy, w których poruszane motorami walce granitowe, obracają się po granitowym również dnie tego kotła — tarła, rozcierając masę czekoladową najsubtelniej przez 30 do 40 godzin, co dopiero nadaje jej delikatny smak.

Tak spreparowana masa przechodzi jeszcze długi proces fabrykacji, których to szczegółów nie będziemy tu już opisywać, aż ostatecznie wchodzi do maszyn długości po 20 metrów, w których po przygotowaniu, roztopieniu, ochłodzeniu, wymieszaniu, wylaniu w foremki i automatycznym wysunięciu na szerokich pasach, wychodzi już jako gotowe tabliczki czekolady, czystej lub nadziewanej. — W fabryce firmy A. Piasecki S. A. cały ten proces przechodzi automatycznie do końca, gdyż inne maszyny biorą gotowe już tabliczki, lub czekoladki i automatycznie zawijają w cienkie woskowane papierki, w staniolę, pakują w pudełka — tak, że produktu tego ręka prawie że nie dotyka.

Osobny dział fabryki firmy tej stanowi dział karmelków, prowadzony na większą skalę, gdzie również w kotłach parowych gotują się karmelki, wychodzące gotowe, automatycznie w maszynach sformowane, zapakowane, włożone do pudełek, aby potem przejść do rąk kupujących.

Godne uwagi są też urządzenia chłodni do ochładzania czekolady zapomocą wielkich kompresorów, co się w procesie fabrykacji kilkakrotnie powtarza.

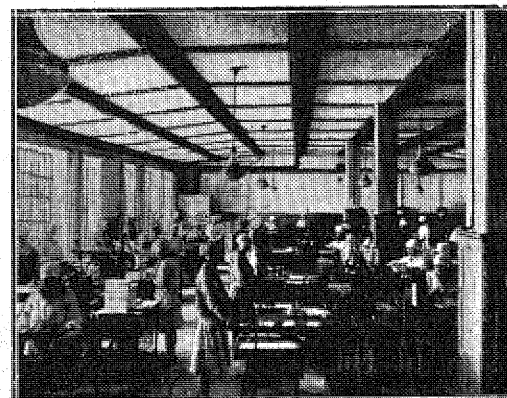
Niejeden zapewne ciekawy będzie, jakimi to „kapitałami zagranicznymi” powstała w Polsce tak wielka fabryka? Otóż odnośnie do firmy A. Piasecki S. A. może się on dowiedzieć ze zdziwieniem, że wyłącznie krajowymi kapitałami i wyłącznie własną pracą przedsiębiorcy



Mieszadła do wydzielania czekolady deserowej i mlecznej.

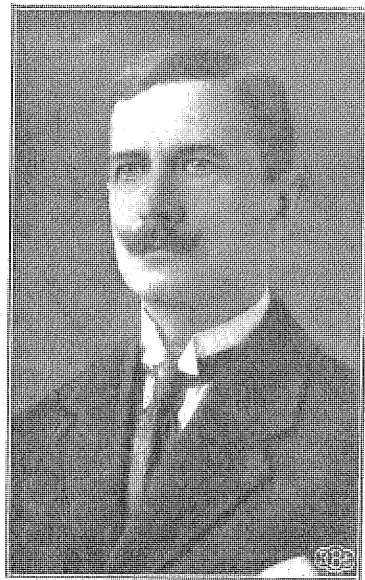
właściciela, który przed 30 laty miał w Krakowie cukiernię, słynną ze swoich doskonałych wyrobów cukrowych i czekolady, a poznawszy tajemnicę fabrykacji, zabrał się do zbudowania fabryki, którą po 10 latach przeniósł na inne miejsce, gruntownie przebudował, aż doprowadził do dzisiejszego rozwoju i ogromu.

Fabryka ta pod fachowem kierownictwem, produkująca wszelkie gatunki czekolady deserowej, mlecznej, śmietankowej, wielki wybór czekoladek i cukrów i wiele doborowych karmelków, całkiem słusznie zapewnić może swoim konsumentom towar gwarancyjnie czysty (bez jakichkolwiek namiastek) zatem pełnowartościowy pod względem jakości i wagi, najtaniej obliczony, jednak bez losów szczęścia, na co szczególnie trzeba zwracać uwagę. —

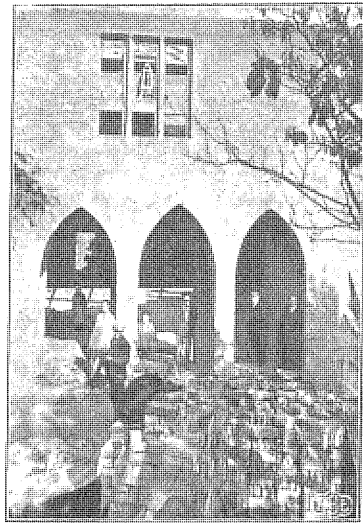


Automatyczne pakowanie czekolady.





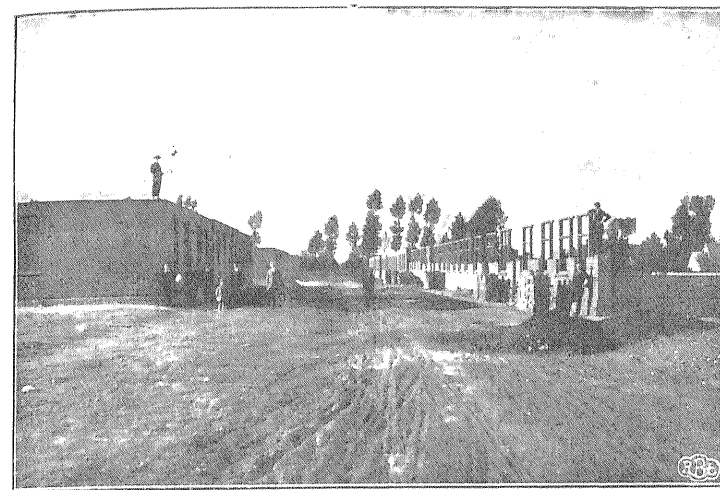
Przewodniczący Urzędu Rozjemczego dla spraw najmu m. Łodzi, p. sędzia Wł. Cedrowski.



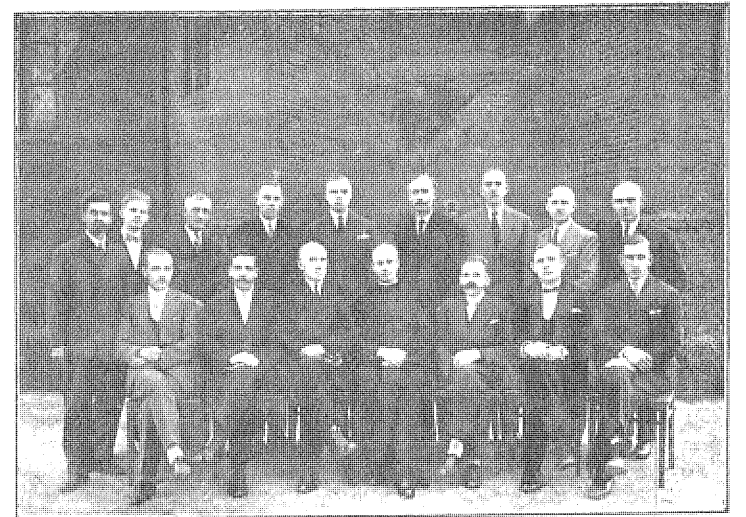
Związek Majstrów Fabrycznych w Łodzi buduje gmach dla własnego kinoteatru. Powyżej fragment budowl.



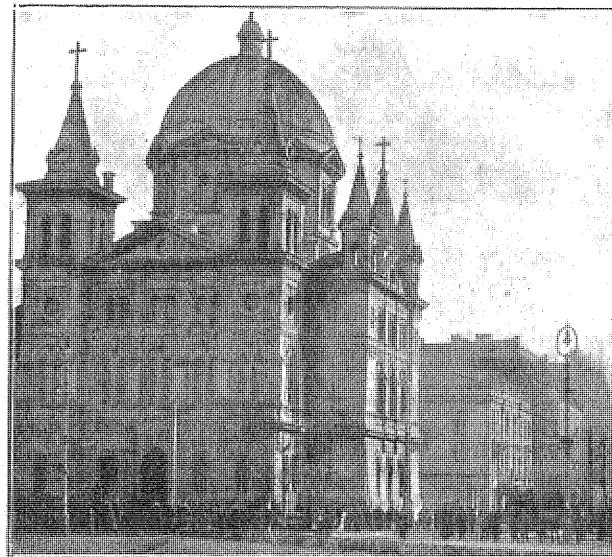
P. Jan Odymiec, zastępcę przewodniczącego Urzędu Rozjemczego dla spraw najmu w Łodzi.



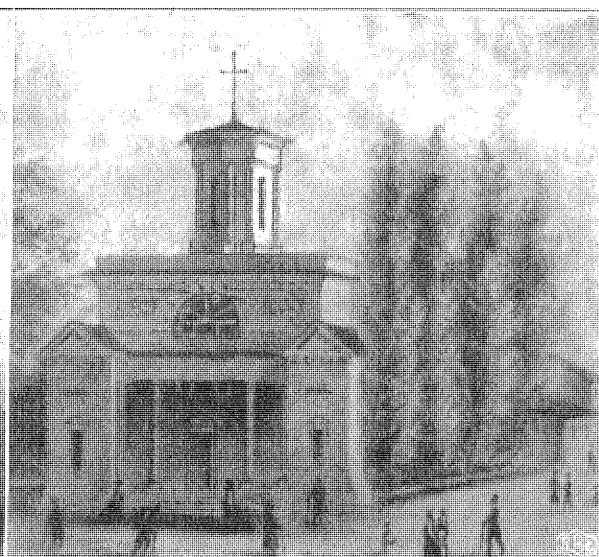
Budowa domów robotniczych w Pabjanicach. Na zdjęciu widzimy zaczątki kolonii robotniczej.



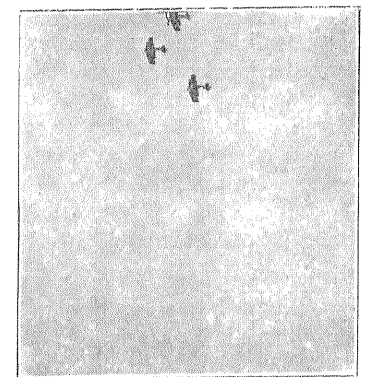
Członkowie komitetu budowy domów robotniczych w Pabjanicach, których budowa rozpoczęła się i prace postępują rażno naprzód.



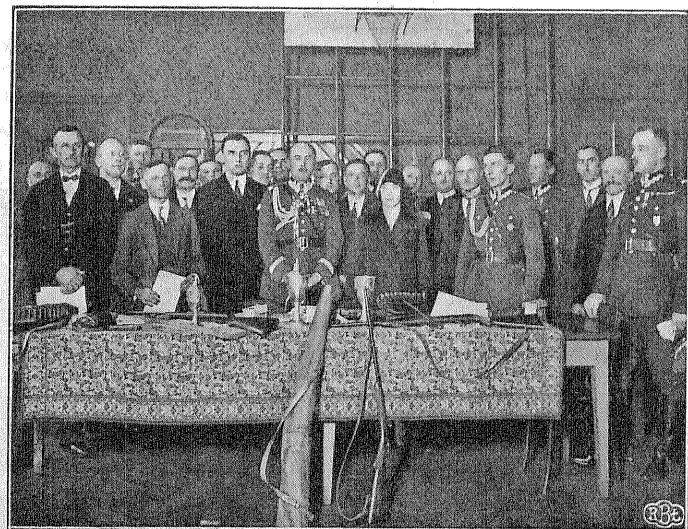
Parafia ewangelicka św. Trójcy w Łodzi święci w dniu dzisiejszym jubileusz 100-letniego swego istnienia. Na zdjęciu widzimy od strony lewej kościół św. Trójcy w dobie obecnej, na prawo zaś tenże kościół przed 100 laty.



J. E. ks. biskup dr. W. Tymieniecki dokonał poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę domów robotniczych w Pabjanicach.



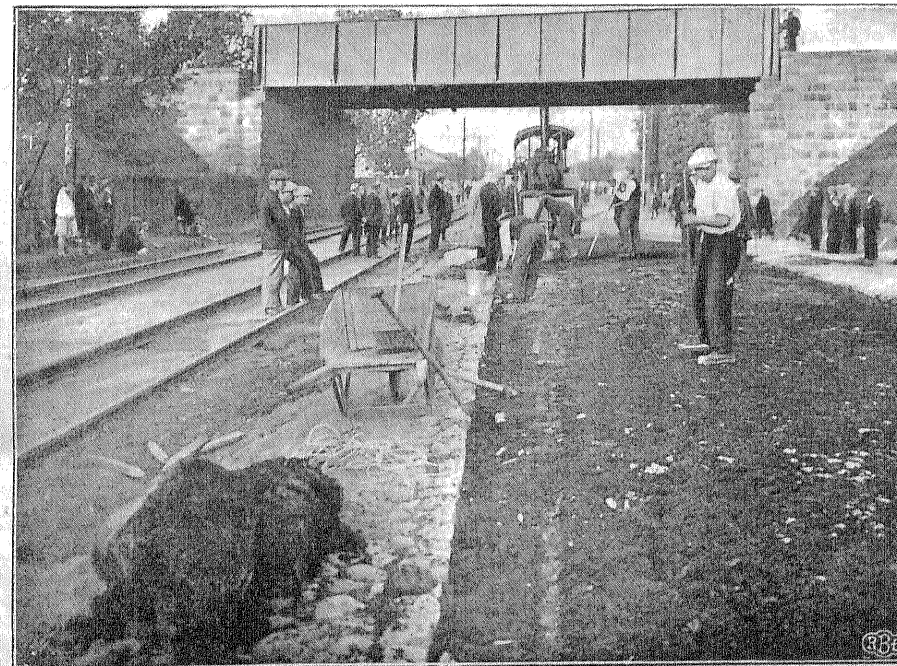
Pokazy wojny gazowej w Łodzi. Załprowizowany atak samolotów na miasto.



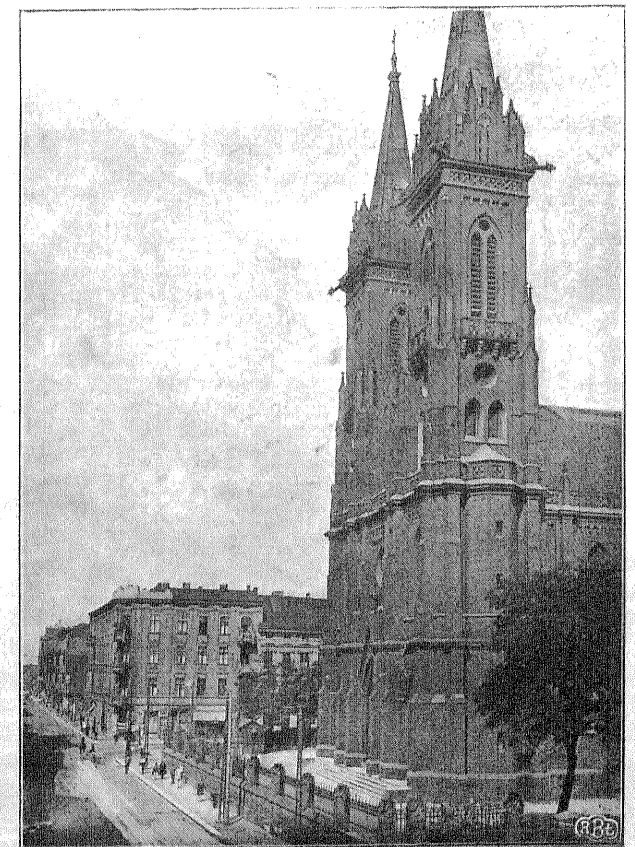
Rozdawanie nagród dobrym strzelcom, uczestnikom strzeleckich zawodów okręgowych. W pośrodku generał Małachowski, dowódca O. K. IV. Fot. A. Meyer.



W dniu 6 b. m. w kościele św. Teresy odbył się uroczysty odpust przy udziale licznych rzesz wiernych. Powyżej orkiestra parafialna z proboszczem na czele.



Pierwsze w Polsce asfaltowanie szosy Pabjanickiej. Powyżej prace nad układaniem asfaltu walcowanego.



Kościół Najśw. Marii Panny w Łodzi będący pięknym wyrazem gotyku.



# NAIWNA.

Na trzykrotne pukanie do drzwi jego pokoju Mario Pingor poruszył się w swym łóżku; na drugie trzy, silniejsze, usiadł na posłaniu.

— Kto tam?  
— To ja, Maria, służąca.  
— Czego?  
— Zapomniałam zapytać wczoraj, co panu podać na pierwsze śniadanie: kawę czy herbatę?

— Nic — odparł gniewnie. — Która godzina?

— Późno! Ośma, proszę pana.  
— Ośma? Nazywacie to późno? Wiedzą cię, do licha, że nie wstajesz nigdy przed dwunastą. Co chcecie, bym zrobił w waszej dziurze przez cały ranek?

— Jest ogród, proszę pana. I podwórko.

— Cóż to? Myślicie, że przyjechałam sadzić wam kapustę, lub kury na jajach?

— Pan pisząc do nas z Paryża, przykazywał, żebyśmy troskliwie doglądali pana, bo panu potrzeba zdrowego pożywienia, świeżego powietrza i wypoczynku.

— Dobrze, dobrze. Ale na przyszłość nie budźcie mnie przed dwunastą.

Pinger był w fatalnym humorze. Serdeczny jego przyjaciel, dr. Laurisson, dostał bziaka widocznie. Kazać mu żyć w Vernie-sur Eure, w tym zapadłym kącie przez całe dwa miesiące? Wśród zimy? W towarzystwie starej ochmistrzyni i ogrodnika-kaleki? Jemu? Mario Pingorowi? Nie! Takiego bohaterstwa nie można narzucać paryżaninowi czystej krwi, załatwiającemu się tak szybko z napisaniem trzyaktowej sztuki teatralnej, jak kucharz z upieczeniem kapłona!

I świetny komedjopisarz widzi siebie, przybywającego w wilgę do tej nędznej stacyjki Vernie, oświetlonej skąpo kopącą lampą. Przed dworcem dwukonna bryczka; obok niej kulawy człowiek z palcami po wojskowemu przy czapce pyta:

— Pan z Paryża? Do doktora Laurisson? Chwalić pana Boga!

Znajomość zawarta i oto jadą truchciem wśród ciemnej choć oko wykoł. nocy, nie dającej rozejrzeć się po okolicy. Stają wreszcie przed większym niskim domkiem. Obiad potem — w samotności, nie-dobra noc i raptowne obudzenie.

Zły początek kuracji izolacyjnej! Nie można zmieniać bezkarnie trybu życia, licząc lat czterdzieści dziewięć i miesięcy siedem!

Oto co panowie medycy powinni wbić sobie dobrze do mądrej głowy!

Czy nie lepiej będzie, dziś jeszcze, niezwłocznie wsiąść do pociągu i wrócić do miasta-słońca, stolicy świata? Tam żył gorączkowym życiem, to prawda. Ale cóż z tego? Czyż życie krótkie a bujne, nie więcej warte od długiej i powolnej wegetacji wśród młdów lub trochę mleustamnych?

Tak rozmyślając Mario Pingor skrzywił się raptownie.

Co za strzykanie w lewej nodze! Jakie szarpanie w prawym biodrze! Życie o szerokim rozmachu? Zapewne! Zapewne!... Trzeba jednak na to trzymać się pewnie na nogach! Przeklęte reumatyzmy, podagry czy artretyzmy! One nie żartują!

Hin! Kto wie, czy nie rozumniej zrobił doktor Laurisson, zalecając mu zmianę trybu życia w ciągu kilku tygodni!

Pingor rozpoczął akt skruchy wyskoczeniem z łóżka. Zbliżywszy się do okna, objął wzrokiem ogród. Nic z ziemskiego raj! Bezlistne drzewa, nieźwirowane aleje, klomby i krzewy z kwieciami odarte. Przynębiająca cisza i trzy stopnie niżej zera. Beznadziejny smutek!

Nie! Jakiś głos świeży rozlega się w chłodnym powietrzu. Zimowa dekoracja zmienia się nagle. ożywia. Lekka i gębka sylwetka dziewczęca ukazuje się na ścieżce. Co to za panienka? Musi być ładna! Ach! Bez wątpienia!

Mario Pingor cofnął się. Odszedł od okna. Jest nieogolony. A zasadniczo chce być eleganckim zawsze.

Ubrawszy się, idzie na śniadanie. Aromatyczna kawa stoi już na stole, lecz dostrzeżonej zdaleka rusalki niema. Z rozmowy z ochmistrzynią wynika, że jest to jej siostrzenica.

— Ma osiemnaście lat zaledwie, proszę pana i zielonego pojęcia o gospodarstwie. Odebrano ją z klasztoru, bo matka przełożona twierdzi, że Iza, tak dziewczynie na imię, nie ma najmniejszego powołania do służby bożej.

— Naturalnie! Naturalnie! — wtrąca Pingor, zapalając papierosa.

— A że my — prawi dalej stara kobieta — Bouchut i ja, służba pana doktora, mamy zbyt duże dla nas dwojga mieszkanie, wzięliśmy małą do siebie, zamiast znaleźć się jakaś biurowa posada dla niej, bo jest uczona, proszę łaski pana! Gdyby pan przypadkiem, przy swoich stosunkach w Paryżu...

— Owszem, owszem! Pomyślmy o tem, pani Bouchut.

Wchodzi młodsza mniszka. Któżby zwrócił uwagę na nią w Paryżu, gdzie wszystkie kobiety, jak na obstalunek, mają świeżą cerę i rumieńce na twarzy?

Ta jednak — myśli literat — jest istnym paczkiem różanym. Co za młodość przytem! Jaka przednia, bajeczna mierzchność w ruchach! To nie jest produkt fabrykacji Konserwatorium Narodowego do współpracy z Instytutem Piękności! Młodość, słodczy uśmiechu, naturalność w obojętności!.. Mimo bliskość pięćdziesiątki i uczucie przesytu, niesposób obojętnym być na te wdzięki kobiece, zjednoczone w jednej osobie.

Serdeczna przyjaźń oczywiście zawiązała się między literatem a Iza, dwojgiem ludzi różnych wiekiem, lecz zarówno nie-nawidzących samotności.

Dramaturg jest bardzo rozmowny, lubi opowiadać o wszystkim, o sobie nawet i swoich powodzeniach literackich, co naiw-

na panienkę niezmiernie żywo zajmuje. Z zapalem słucha wynurzeń Pingora. Zachwyca się jego darem wymowy, stylem wytwornym. Rad z tak gorliwej słuchaczki Marjo od rana szuka jej towarzystwa i zadowolona z siebie para omal że nie rozstaje się do samego wieczora.

W rezultacie, sceptyczny, na cztery nogi kuty paryżanin zakochuje się na dobre w naiwnej panience, orientującej się pozornie w sytuacji. Od czasu do czasu tylko błysk niepokoju przemyka przez duże inteligentne oczy Izy.

Pingor, któremu izolacyjna kuracja we dwoje wpłynęła świetnie na stan zdrowia, bez radości wita zbliżającą się chwilę wyjazdu z Vernie-sur-Eure.

A gdyby zabral Izę do Paryża? Mała ma wyjątkowe zdolności teatralne!... Da jej odpowiednią rolę w swej najbliższej sztuce!... Nie namyślając się długo, występuje z propozycją.

Żadnego sprzeciwu! Iza jest w siódmym niebie. Wuj zachowuje się biernie. Ciotka potakuje z pod czepka... I oto Pingor ze swą protegowaną zjawia się pewnego grudniowego dnia do teatru: „Wychnie nia dramatyczne“, którego dyrektor jest jego osobistym i wielce obowiązującym mu przyjacielem.

Iza, na poczekaniu, podpisuje kontrakt. Jest uszczęśliwiona. Pingor również, Bar-dzo z siebie zadowolony, oboje wychodzą z teatru.

Raptem, na schodach, jedna z owych drugorzędnych aktorek, których nazwiska Marjo Pingor nie zna, tykając je mimoto bez ceremonji, podaje mu rękę na powitanie, zwracając się jednocześnie do Izy:

— Co tu robisz z mistrzem, Moniko?

Zaskoczony magle twórca dwudziestu sztuk pyta z szeroko otwartymi oczyma:

— Jaki? Znać się, moje panny?

— Naturalnie!... Z Konserwatorium od-powiada Iza bez krzty zmieszania.

— Aha! Doskonale! Doskonale! — rzecze mistrz wersalski, poprawny — istny aktor z zawodu — aż do chwili, kiedy zostawszy sam na sam ze swą „naïwną“, rzuci jej z pasją w oczy:

— Cóż to za żarty stroisz sobie panno ze mnie?!

Długo jeszcze potem piecił się ze złości, że dał się wywieść w pole „pannicom z Konserwatorium“ i dwojgu pocziwym starszkom. Dowiedziawszy się jednak, że spisek został uknuty do współpracy z serdecznym jego przyjacielem, dla jego, Pingora, dobra jedynie i zważywszy, że stracił tylko jedną Muzję więcej w życiu, dał za wygraną.

— W gruncie rzeczy, panno Moniko — oznajmił nowo-kreowanej aktorce, przechodząc do porządku dziennego nad swą przygodą — nie usiłowałaś mnie tak dalece, jak przypuszczasz. Jesteś „naïwna“ bez zarzutu, na dowód czego dam ci główną rolę w przyszłej mojej sztuce, którą zatytułuję: „Quasi — naïwna“.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, dnia 27 października 1929 r.

Nr. 43.

## Sąd Okręgowy w Łodzi.



W niedalekiej już przyszłości Sąd Okręgowy w Łodzi posiadać będzie własny, specjalnie wybudowany, obszerny gmach przy Placu im. gen. Dąbrowskiego. Budowa jego postępuje szybko naprzód. W chwili obecnej Sąd Okręgowy mieści się w gmachu Państwowej Szkoły Włókienniczej przy ulicy Żeromskiego, który nie odpowiada wymaganiom tej wysokiej instytucji sądowej. Na zdjęciu powyższem widzimy w owalu prezesa Sądu Okręgowego p. St. Belżyńskiego, u góry od strony lewej wiceprezesa S. O. i przewodniczącego Wydziału Cywilnego sędziego p. Żółkwę, na prawo zaś wiceprezesa S. O., przewodniczącego Wydziału Karnego p. sędziego Br. Steinmana. U dołu na lewo wiceprezes S. O. i przewodniczący Wydziału Odwoławczego, sędzia St. Świderski, na prawo zaś wiceprezes S. O., przewodniczący Wydziału Handlowego p. sędzia J. Kiszmiszjan. W pośrodku gmach Sądu Okręgowego przy ulicy Żeromskiego.